

Szczechowicz w jednym miejscu twierdził na przykład, że „W Meksyku dominowała obrona strefowa, całkowicie zrezygnowano z obrony kombinowanej”, a w drugim, że „Obrona strefowa połączona z fragmentarycznie stosowaną obroną „każdy swego”, była podstawą skutecznej taktyki bronięcia w mistrzostwach Świata Mexico '86”. A co to jest? Czy to nie jest właśnie obrona „kombinowana”?

Sprzeczności w swoich głęboko osobistych wywodach nie ustrzegł się również trener Piechniczek. W PZPN uznano, że w Meksyku nasza reprezentacja zawiodła, a jej sposób gry trącił myszką. Antek widział to tylko tak: ... „Nasza reprezentacja zaprezentowała się poniżej oczekiwań i chyba własnych umiejętności i możliwości”. Nie odpowiedział konkretnie – dlaczego? Raz pisał, że do lepszego przygotowania „zabrakło dwóch mikrocykli szkoleniowych...”, w innym miejscu chwalił się, że ... „podkreślano dobre przygotowanie wytrzymałościowe”. Postawił wreszcie tezę z gruntu fałszywą: *„Zespół pod względem przygotowania ogólnego, a także wartości cech motorycznych nie ustępował rywalom”*...

Nie były to jedyne spostrzeżenia Piechniczka budzące niepokój. Bulwersowała zwłaszcza jego opinia o fatalnym stanie opieki lekarskiej: – „Medycyna? Pracującej systematycznie na potrzeby drużyny w Meksyku nie było. Piłkarze mieli więc pretensję, że w premiowaniu uwzględniono cały pion szkoleniowo-medyczny, w sumie 7 osób. Ta grupa otrzymała kwotę równą wynagrodzeniu dwóch zawodników”. To oświadczenie selekcyjnera dość wyraźnie ilustruje skalę kłótni na tym Mundialu w kwestiach zdrowotnych i finansowych. To też musiało mieć wpływ na mizerną postawę Polaków w tych mistrzostwach.

Cały piłkarski świat, w tym również wielu fachowców w kraju, nie miało wątpliwości, że nasza drużyna grała w Meksyku zachowawczo, prezentując typowo defensywny styl gry, ale trener widział to inaczej: ... *„W każdym meczu (poza meczem z Portugalią) zespół przeprowadził więcej akcji ofensywnych oraz oddał więcej strzałów na bramkę przeciwnika”*... Załóżmy, że tak było. W takim razie

jak należy rozumieć sens jednego z końcowych wniosków selekcyjnego, w którym podkreśla „zachowawczy sposób gry – Bońka, Buncola i Dziekanowskiego”.

Józef Boniek, ojciec Zbyszka miał w tej sprawie własne zdanie: – „Zbychu grał tak, jak wszyscy czyli kiepsko. Tylko jedna „przewrotka” w meczu z Brazylią przypomniła światu, że mój syn coś potrafi. To za mało. On sam liczył na więcej”. Ojciec słusznie bronił więc syna. Ale czy trener Ryszard Koncewicz równie sprawiedliwie swojego pupilka Antoniego Piechniczka: – „Ogólna postawa naszej reprezentacji w Meksyku była tym razem prawdziwą wizytówką tego, co umiemy i jak gramy. Dużym uproszczeniem było by zrzucenie całej winy za niepowodzenie na trenera – selekcyjnego”.

To wszystko, co w swoim raporcie napisali Piechniczek i Szczechowicz, trudno było by uznać za ostateczny rozrachunek z meksykańskim Mundialem. Dyskusje trwały. Pojawiło się mnóstwo „uzdrowicieli” polskiego piłkarstwa. Reformowano ligę, rozgrywki młodzieżowe, krytykowano szkolenie w klubach i formy tworzenia reprezentacji. Znowu, że powtórzę za Wyspiańskim – słowa, słowa, słowa... Efekty żadne. Nadszedł kres sukcesów reprezentacji. Po RFN, Hiszpanii i Meksyku zostały tylko wspomnienia. A więc rzeczywiście tylko „do trzech razy sztuka”. Zaczęła się długa i kręta droga powrotu do sławy. Jak długo to potrwa?

Ciągle mam w uszach slogan sprzed dwudziestu lat „Jaka liga, taka reprezentacja”. Niemal przez cały rok 1987 jeżył się z tego powodu włos na głowie. Liga była słabiutka, reprezentacja bezradna. Większość naszych trenerów miała jednak dobre samopoczucie. Można było odnieść wrażenie, że oni – trenerzy i my – dziennikarze oglądamy zupełnie inne mecze. Podczas gdy na przykład ja zarzucałem wielu drużynom człapanie po boisku, małą siłą ognia i „gry pozorowane”, znaczna część szkoleniowców zaczęła przebąkiwać o „prasowej dywersji”. Byłem też przeciwny przyznawaniu dodatkowego punktu za wygraną różnicą trzech bramek. Nawet taki lis jak Jerzy Kopa dość długo patrzył na ten dziwny pomysł przez „ró-

żowe okulary”. Na szczęście w porę przejrzał na oczy i wkrótce przyłączył się do opinii mediów. Tym samym przyspieszył naturalną śmierć bzdurnych przepisów.

Recepta ta miała zachęcić drużyny do bardziej ofensywnego stylu gry. Trafiano kulą w płot. Ligowcy strzelali teraz mniej goli niż w 1986 roku. Tylko Górnik Zabrze, który i tak z reguły zdobywał w rozgrywkach najwięcej bramek, skorzystał z tego przywileju. Zapomniano, że kij ma zawsze dwa końce. To, co zyskali zabrzanie, inni tracili, ergo – bronili się przed tak wysoką przegraną. Stąd jeszcze większa mizeria bramkowa. Nie można na rozkaz usprawnić strzelania. Faktyczny wzrost ofensywności osiąga się poprzez odpowiednie umiejętności snajperskie wszystkich ligowców, a nie tylko garstki wybrańców.

I jeszcze jedna uwaga: reprezentacji też nie służy monopol jednego nawet najbardziej ofensywnie grającego klubu. Historia to potwierdza. Tak było w czasach, kiedy Legia miała w swoich szeregach praktycznie jedenastu reprezentantów, tak również w odniesieniu do Górnika Zabrze w latach późniejszych. Sukcesy klubów bezpośrednio nie przekładały się na poziom reprezentacji. Drużyna narodowa musi mieć większe możliwości wyboru zawodników. Dopiero wtedy wzrasta konkurencja. Koncentracja najlepszych piłkarzy w jednym klubie często demobilizuje pozostałe.

Wojciech Łazarek obejrzał w akcji, tak w lidze jak i na reprezentacyjnym poligonie, dużą grupę zawodników. I co to dało? De facto selekcję negatywną! Niemal dzień i noc usiłował zabawiać się w „poławiacza perel”, a wyławiał żółwie i ślimaki. W takiej sytuacji łatwo o błędy. Łazarek się ich nie ustrzegł, ale biczować się nie musi. W tej „negatywnej selekcji” wykazał dużo dobrej woli, cierpliwości i... sklecił trzon nowej kadry. Czy na miarę eliminacji mistrzostw świata? Było to wszystko zbyt kruche, rozlaźle, utwierdziło Łazarka w przekonaniu, że nie można ulegać iluzjom. Po pierwsze, nie wszyscy piłkarze grający na co dzień

w zachodnich klubach są zbawieniem dla reprezentacji, po drugie – same apele o lepsze szkolenie w naszych klubach też nie gwarantują sukcesu.

Co robić? Mocniej uderzyć pięścią w stół? A może wrócić do szkolenia centralnego? Tej prawdy ukryć nie wolno: drużyna narodowa „jest w odwrocie”. Nie mamy jedenastu zawodników na reprezentacyjnym poziomie. Selekcjoner ubolewał w swoim rubasznym stylu: – *„I niedźwiedzia poprzez wczesną i właściwą tresurę na rozżarzonych węglach można nauczyć tańczyć, ale przecież nigdy nie będzie Fredem Astairem”*. Nie ta skala talentu i nie ta jakość piłkarzy! Poza tym brak motywacji, odpowiedzialności i ambicji u znacznej części zawodników. To wszystko powoli stawało się nawykiem, wchodziło graczom w krew. To zły znak. Do tradycyjnych niedostatków w wyszkoleniu techniczno-taktycznym właśnie teraz doszły słabsze cechy motoryczne i... mentalność drobnych kramarzy. Poziom kreta na Żuławach...

Nastrój podły, ale łudzono się, że czas zagoi rany. Z takim przekonaniem Wojciech Łazarek, udał się na losowanie przed Copa del Mondo '90. Ta przedmundialowa gala odbyła się w samo południe 12 grudnia 1987 roku w Hallenstadion w Zurychu. Mnie tam też wiatry poniosły. Obiekt wielki, ale z każdego miejsca widoczność wspaniała. Tylko nerwy zaczynają odmawiać posłuszeństwa. Sekretarz generalny PZPN Zbigniew Kaliński i Wojciech Łazarek ogryzają palce. Kolega Andrzej Żmuda z telewizji i dwaj dziennikarze piszący, Michał Listkiewicz i Jerzy Lechowski też sprawiają wrażenie „elektrycznych”. Nie daje tego poznać po sobie znacząca postać tej uroczystości Michel Platini i jego asystenci, prezenterka włoskiej telewizji Elisa Gardini i Edson Arantes do Nascimento – PELE.

Mistrzem całej ceremonii, wzbogaconej sportowymi pokazami i śpiewem, jest jednak sekretarz generalny FIFA – Joseph Blatter. Robi to na wysoki poziom, więc prezydent FIFA, Joao Havelange z zadowolenia tylko się uśmiecha.

W losowaniu poszczególnych grup partnerami Blattera byli: Ornelia Mutti popularna włoska aktorka, piłkarz roku 1982 Paolo Rossi i sternik MKOl – Juan Antonio Samaranch. Z widowni do otwierania pojemników z kuleczkami poproszono młodziutką Joasię – wnuczkę prezydenta Havelange’a. Nam wylosowała: Anglię, Szwecję i Albanię. Nie, to jeszcze nie „grupa śmierci”, ale obok pierwszej (Bułgaria, Dania, Rumunia, Grecja) niewątpliwie jedna z najsilniejszych. Znowu aktualne stało się pytanie: – **Kto teraz zatrzyma Anglię?** Nie ma już Tomaszewskiego, nie będzie też Młynarczyka. Teraz czas Józefa Wandzika i Jarosława Baki.

W kolejnej korespondencji z Zurychu „**W rytmie tarantelli**” starałem się przekonać czytelników, że nie wszyscy ludzie na świecie tracą głowy z powodu futbolu. Szwajcarzy są praktyczni, widzą więcej i sięgają głębiej. U nich praca jest na pierwszym miejscu, potem rodzina i związane z tym różne problemy, a dopiero w dalszej kolejności wszelkiego rodzaju rozrywki i sport. Helweci potrafią też bawić i wznosić toasty. Wieczorem w ogromnej sali położonej w najbliższym sąsiedztwie Hallenstadion odbył się bankiet – jak to my byśmy powiedzieli – na cztery fajerki. Miejsca przy stołach biesiadnych tylko dla wybranych. Dziennikarzy zbyt wielu tu nie było, przeto Listkiewicz i ja poczuliśmy się w pełni dowartościowani. Popijaliśmy wino „Frascati Doc 1981 Villa Patrizia” i „Chianti Classico 1981 Riserva La Madonnina”. Przemówił Joao Havelange:

...Jestem więcej niż optymistą, jeśli idzie o finały mistrzostw świata w 1990 roku. Komitet organizacyjny z moim przyjacielem Franco Carraro pracuje bardzo dobrze. Znamy już dwanaście stadionów, na których odbywać się będą mecze. Tylko dwa z nich powinny być rozbudowane – w Turynie i Bari... Jeśli idzie o finanse, to rząd włoski przeznaczył na Coppa del Mondo czterysta milionów dolarów... Nie przewiduję żadnych kłopotów...

Przy „Frascati Doc...” i „Chianti Classico...” zastanawialiśmy się nie tylko kto zatrzyma Anglię, lecz także czy w meczu z Albanią nie powtórzy się niedawny wynik remisowy z Mielca, a ze Szwecją przegrana w ostatnim meczu towarzyskim w Malmoe. Przypomniałem Łazarkowi, zresztą on sam również był na tym meczu, że... **„W reprezentacji Szwecji obowiązuje zasada: nie dać pograć napastnikom ani obrońcom rywala”**. Zawodnicy realizują to konsekwentnie. Odpada więc możliwość tak często praktykowanej u nas jałowej wymiany podań – **„ty do mnie, ja do ciebie”**. Dziś w Europie podejmuje się walkę na całym boisku! Nasza gra na Albanię wystarczyła, Krzysztof Warzycha strzelił zwycięską bramkę, ale na Solnej w Sztokholmie Szwedzi znowu byli lepsi. W relacji z tego meczu starałem się współczuć Łazarkowi, bo do „urządającego” nas remisowi zabrakło zaledwie kilkadziesiąt sekund. Ostateczne pożegnanie z Copa del Mondo nastąpiło po przegranej z Anglią (0:3) na Wembley. Łazarek podał się do dymisji. Ster reprezentacji przejął Andrzej Strelau.

Najwszechstronniejszym zawodnikiem w kadrze Łazarka był Waldemar Prusik. Potrafił rozgrywać, strzelać bramki, dobrze czuł się również w grze obronnej. Dość długo pewniakiem w tej formacji był stoper Paweł Król, ale nie potrafił wykorzystać szansy. Słaby charakter. Złośliwcy opowiadali, że potrafił się zabarykadować w czołgu i tam popijać gorzałę. Wszyscy współcześni stoperzy nie dorównywali swoim wielkim poprzednikom: Parpanowi, Koryntowi, Ośliźle, Gorgoniowi, Żmudzie, Janasowi. Dariusz Dziekanowski dość często występował teraz w drugiej linii i spisywał się tam nie najgorzej. Jawił mi się po nocach drugi Deyna, ale na razie sny się nie sprawdzały. Darek też nie grał na miarę swojego talentu. Obwinałem za to, między innymi – naszych trenerów klubowych i reprezentacji:

„Gdyby Dziekanowski w odpowiednim momencie trafił w ręce drugiego Jaroslava Vejvody – pisałem – byłby dziś najlepszym rozgrywającym

nie tylko w polskiej lidze”. Nikt jednak nie miał odwagi (może i wyobraźni), by ukrócić Darkowi cugle i powiedzieć, jak niegdyś właśnie Vejdoda powiedział Deynie, z którego też na siłę robiono napastnika: – „Kazio, tyś je urodzeni pomocnik”...

Temat nie nowy i zapewne złożony, Dziekanowski też nie potrafił w pełni pomóc talentowi i... szczęściu. Niegdyś trudne chwile przeżywał Józef Młynarczyk, ale to twardy facet, więc w porę mocno stanął na nogach. Właśnie w roku 1987 jako drugi Polak w historii naszego futbolu wywalczył Klubowy Puchar Mistrzów Europy, a wkrótce potem już jako pierwszy – Puchar Świata. Młynarczyk grał wtedy w FC Porto. Na własne oczy przeżywałem ten pierwszy sukces Młynarczyka. Przez kilka dni w ogóle wydawało mi się, że jestem w piłkarskiej krainie szczęśliwości. Futbolowa Arkadia! Najpierw na wiedeńskim Praterze oglądałem finał Pucharu Mistrzów, a potem praktycznie codziennie w austriackiej telewizji podziwiałem w akcji: Juventus, Romę, HSV, Ajax, cały mecz Barcelona – Real Madryt, a także fragmenty jednego z występów naszego „Mundka” Okońskiego. To, co pokazał na polu karnym (w kwadracie pięć na pięć metrów wymanewrował czterech rywali), istotnie stawia go w rzędzie najlepszych napastników świata. Ale zaraz nasunęło się pytanie: – *Dlaczego tak samo dobrze nie zagrał w fatalnym meczu z Cyprzem w Gdańsku?*

Był to mój drugi dziennikarski finał Pucharu Klubowych Mistrzów Europy z... udziałem polskiego piłkarza. Pierwszy w roku 1983 w Atenach nie skończył się po myśli Zbigniewa Bońka, natomiast ten drugi w Wiedniu jeszcze bardziej rozjaśnił gwiazdę Józefa Młynarczyka. Polak bronił doskonale. Zresztą cały zespół z Porto miał swój wielki dzień i wygrał 2:1. Już na rozgrzewce prezentował się lepiej niż monachijczycy. W czasie gry zwłaszcza Joao Pinto, kapitan Porto, Rabah Medjer i Paulo Futre potwierdzili swoją wyższość techniczną nad ry-

walem. Tam też tuzów było sporo: słynny bramkarz belgijski Jean-Marie Pfaff, równie znani na całym świecie Lothar Matthaeus, Michael Rummenigge, Dieter Hoeness i strzelec bramki, nowa gwiazda Bayernu Ludwik Koegl. Moim faworytem było jednak FC Porto. Żałowałem tylko, że Austriacy nie są tak zapalonymi hazardzistami jak Grecy i nie zorganizowali „totka” na końcowy wynik. Może znowu, tak jak w Atenach, zgarnąłbym całą pulę.

Przed przerwą górą był nieco lepiej zorganizowany Bayern. Bryłował rozgrywający Matthaeus. To piłkarz, którego po raz pierwszy widziałem w roku 1980 w Częstochowie w meczu drugich reprezentacji Polski i RFN. Zachwycił mnie swoim wyszkoleniem i żywiołowością w grze. Publicznie wyraziłem wówczas ten zachwyt: – *„Panowie za kilka lat – to będzie najlepszy piłkarz świata”*. Trener Udo Lattek, wiedząc że FC Porto słynie z groźnych kontrataków i umiejętności „murowania” własnej bramki, nastawił monachijczyków na szeroką grę skrzydłami, centry w pełnym biegu i strzały głową. Była to skuteczna taktyka, Bayern prowadził po pierwszej połowie gry 1:0. Po przerwie trener Jorge wprowadził do gry Brazylijczyka Juarę. I stał się cud! Piłkarze z Porto rozluźnili własne zasieki obronne, postawili teraz wszystko na jedną kartę, odważnie dążyli do odwrócenia losów meczu.

Błyszcząca lewoskrzydłowy Paulo Futre. Niemiłosiernie poniewierany przed Edera i jego kolegów, jak jakiś współczesny Feniks, odradzał się po każdym upadku i parł uparcie do przodu. Nie szukał pomocy u sędziego Aleksisa Ponneta z Belgii. Wyłącznie swoją żywiołowością, szaleńczymi dryblingami a’la slalomista Szwed Stenmark i akcjami żywo przypominającymi popis Maradony w meczu z Anglią w Meksyku, doprowadzał obrońców Bayernu do rozpacz. Także bramkarz Pfaff z każdą minutą tracił pewność siebie. Bojowego Futre dzielnie wspierał Algierczyk Rabah Medjer. Najpierw iście cyrkowym strzałem piętą wyrównał stan meczu na 1:1, a nieco później po jego

niezwykłe efektownym zwodzie Brazylijczyk Juary zdobył dla FC Porto zwycięską bramkę.

... To był mój rewanż za Gijon – powiedział po meczu Medjer. – Nigdy tego nie zapomnę, tej ukartowanej gry piłkarzy Niemiec i Austrii. Zmowa tych dwóch reprezentacji spowodowała w Hiszpanii wyeliminowanie mojej drużyny z mistrzostw świata.

Na Wiener Praterstadion triumfował futbol techniczny i trzy gwiazdeczki: Paulo Futre i Rabah Medjer z FC Porto oraz Ludwik Koegl z Bayernu Monachium. Po przerwie nawet Lothar Matthaeus był w ich cieniu. A nasz Józef Młynarczyk zdecydowanie wygrał konfrontację z Belgiem Pfaffem, o którym przed meczem mówiono i pisano, że „jest chwilami najlepszym piłkarzem świata”. W sumie był to piękny futbol. Kibice dostroili się do wysokiego poziomu widowiska. Organizatorzy również – 27 maja 1987 roku na wiedeńskim obiekcie obowiązywał „dzień trzeźwości”. Nikt nie przemycił na stadion ani jednej butelki alkoholu. Punkty kontrolne były szczelne, a bilety drogie. Piwa nie było nawet dla VIP-ów i dziennikarzy. Tragedia z Heysel 1985 nie mogła się powtórzyć!

Górami była prawdziwa piłka nożna, trwał festiwal Józefa Młynarczyka. W maju w Wiedniu był jednym z bohaterów Klubowego Pucharu Mistrzów Europy, natomiast w grudniu w Tokio poznał Polaka już cały piłkarski świat. FC Porto pokonało tam Penaral Montevideo 2:1, zdobywcę południowoamerykańskiego Copa Libertadores. I znowu decydującą bramkę dla zwycięzców zdobył Algierczyk Rabah Medjer. Na równie duże uznanie zasłużył Polak. Niemal przez całą drugą połowę meczu i w dogrywce wyraźnie przeważali piłkarze zza Oceanu. Jednak przegrali 1:2, bo właśnie w tych dwóch fazach spotkania rewelacyjnie bronił bramki FC Porto nasz Józef Młynarczyk. Trzeci wielki sukces na koncie Polaka: w reprezentacji – medal mistrzostw świata w Hiszpanii, w klu-

bie – Puchar Europy i Puchar Świata. Taki dorobek w swej karierze klubowej ma jeszcze tylko Zbigniew Boniek!

Józef Młynarczyk – to był w roku 1987 nasz jedyny, choć wpisany na obce konto, mocny akcent na arenie międzynarodowej. Osłodził gorycz blamażu „biało-czerwonych” w kolejnych eliminacjach mistrzostw Europy, fiasko priorytetu „olimpijczyków” przed turniejem w Seulu i niepowodzenia Górnika Zabrze, Śląska Wrocław, Pogoni Szczecin i GKS Katowice w europejskich rozgrywkach pucharowych. Z takiej mizerii nie łatwo było wybrać najlepszych w kraju. W „Piłce Nożnej” po długich i zaciętych dyskusjach zdecydowaliśmy się na taki oto wybór: Leszek Jezierski (Trener Roku), Andrzej Iwan (Piłkarz), Piotr Werner (Sędzia) i Ryszard Cyroń (Odkrycie Roku). Mnie osobiście dużą satysfakcję sprawił wybór najlepszego arbitra. Przed laty, mało wtedy znany Werner, podczas meczu Widzew – Lech zbierał cięgi od gości i gospodarzy. Pobiegłem do szatni, by go pocieszyć: – *„Głowa do góry, kolego. Za kilka lat będzie pan najlepszym sędzią w Polsce...”*

Pojawiły się nowe zagrożenia i to na Igrzyskach Olimpijskich. W Calgary w organizmach niektórych hokeistów wykryto testosteron. A więc doping wdarł się na najwyższe szczeble światowego sportu! Podjąłem ten temat w piśmie czysto piłkarskim, wychodząc z założenia, że sport jest jeden, niepodzielny i to, co dziś dotknęło hokeistów, jutro może spotkać piłkarzy. Takich dożyliśmy czasów. Już w latach piłkarskich mistrzostw świata w RFN i Hiszpanii błogi nastrój z czasów barona de Coubertina mąciły permanentne kontrole antydopingowe. Najbardziej zżymali się: Władysław Żmuda, Grzegorz Lato, Waldemar Matysik i Włodzimierz Smolarek, bo ich najczęściej typował komputer. Dlaczego właśnie ich?

Organizatorom wydała się podejrzana ogromna waleczność i wytrzymałość Polaków. Krążyły nawet plotki, że niektórych zamierzano wykluczyć z mi-

strzostw. Ale nasi piłkarze nie wzmacniali organizmów niedozwolonymi środkami. W Monachium i Alicante byli po prostu dobrzy, przy tym rozsądni, dalecy od nieuzasadnionego ryzyka i nieuczciwości. Po Calgary zastanawiano się, jak przeciwstawić się testosteronowi i dopingowi? Radzono powrót do amatorsstwa. Nawet Zbigniew Boniek usiłował dmuchać w tę utopijną trąbę. Syty głodnego nie zrozumie. Kolejny pomysł „Zibięgo”: – „Najlepiej setce młodych piłkarzy pozwolić wyjechać za granicę”... też nie przystawał do naszej rzeczywistości. W latach 1970 – 1982 nikt u nas takich szaleństw nie praktykował, mimo to piłkarze zdobywali medale olimpijskie i mistrzostw świata.

URODZINOWA GALA

W roku 1988 przeżyłem jeszcze dwa dość ważne wydarzenia. Zbliżający się koniec reprezentacyjnej kariery Zbigniewa Bońka, a w różnych kategoriach wiekowych trwała ona blisko 15 lat oraz jubileusz piętnastolecia ukazywania się tygodnika „Piłka Nożna”. Byłem „świadkiem koronnym” początków (narodzin?) obu tych niecodziennych faktów. Przydatność Bońka do drużyny narodowej dość jasno nakreśliłem w stałej mojej rubryce „**Sprawy reprezentacji**” pt. „Przebłytki możliwości”. Miałem tu na myśli głównie „przebłytki” naszych reprezentacyjnych drużyn, ale właśnie Bońkowi, liderowi pierwszego zespołu, poświęciłem najwięcej uwagi.

...Powiedzmy sobie szczerze – w Meksyku Boniek nie grał lepiej od pozostałych członków drużyny... Czy teraz zdoła odzyskać dawną mocną pozycję w reprezentacji? Lata lecą, a wraz z upływem czasu słabnie entuzjizm i młodzieńczy zapał... Górę biorą doświadczenie i wyrachowanie... Nie sposób wymagać dziś od Bońka, Smolarka, Młynarczyka, żeby uzdrowili reprezentację... Mogą tylko pomóc drużynie, ale gruntownie jej kształtu i wartości już nie zmienią. A'propos

Boniek. Jest tak doświadczony, tak potrafi kierować i regulować swoimi nastroskami i zamierzeniami, że tylko od porozumienia na linii selekcjoner - piłkarz zależy czy jeszcze zagra w reprezentacji i na jakiej pozycji.

Boniek powiedział „tak”, przeto można być przekonanym, że wykona powierzone mu zadanie. Ma wciąż dość sił i ochoty na grę w drużynie narodowej. W jakiej roli? W dzisiejszym wieku Bońka (32 lata) w biało-czerwonych barwach występowało wielu niegdyś wybitnych zawodników: Gracz, Cieślik, Pohl, Brychczy, Lato... Cały problem Bońka sprowadza się do tego, na jakiej pozycji powinien (lub mógłby) zagrać. Czasy z Mundialu w Hiszpanii (i częściowo w Argentynie i Meksyku), gdzie był typowym harcownikiem, łowcą bramek i siłą napędową zespołu, trzeba uznać za historyczne, one już nie wrócą. To dobra rola dla żrebacków, takich jak dziś: Leśniak, Kosecki, Marciniak i ewentualnie Furtok. Nawet Dziekanowski nie pasuje do tej koncepcji. „Zibi” niezbyt dobrze czuł się w drugiej linii... Co w tej sytuacji?

Jest rzeczą naturalną, że każdy starszy wiekiem i stażem zawodnik przesuwają się z przodu do tyłu drużyny, z napadu – często poprzez pomoc – do obrony. I taką możliwość, zapewne ku zadowoleniu Bońka, dostrzegł trener Łazarek. Pan Zbigniew zagra więc w obronie, kiedyś z powodzeniem robił to w Widzewie, a teraz imponuje w Romie. Nie będzie konkurentem dla Kubickiego i Wdowczyka, miejsce Bońka jest tylko w środku obrony i to w charakterze „libero”, a nie zwyczajnego rozbijacza zagrań przeciwnika. Z tej pozycji, można dowodzić całą drużyną, a nie tylko blokiem obronnym, inicjować akcje, włączać się do gry ofensywnej i kończyć atak celnym strzałem. To może być idealna sytuacja dla dzisiejszego Bońka. A gdyby ten eksperyment się nie udał?

W pięciu meczach w latach 1987 – 1988 partnerem Pawła Króla lub Damiana Łukasika w środku obrony był Witold Wenclewski z ŁKS-u. W remis-

wym pojedynku z Irlandią Północną w Belfaście łodzianina zastąpił właśnie Zbigniew Boniek. Był to eksperyment udany. Wojciech Łazarek zmierzał ku trwałszym i bardziej perspektywicznym rozwiązaniom, tymczasem „Zibi” pożegnał się z reprezentacją. Odszedł w sławie i chwale. Mniej lub bardziej udanie próbowali go zastąpić: Roman Wójcicki, Witold Bendkowski i Zbigniew Kaczmarek, ale nie były to duety z czasów Oślizły i Gmocha, Gorgonia i Żmudy oraz Żmudy i Janasa.

Kolejny selekcjoner Andrzej Strelau w środku obrony korzystał z usług Janusza Nawrockiego, Krzysztofa Budki, Zbigniewa Kaczmarka, Damiana Łukasika, Romana Szewczyka i Piotra Czachowskiego. Kierując się ówczesną modą w kilku meczach wystawił w obronie tylko trzech zawodników. Z małym powodzeniem... Gdy po przegranym meczu z Anglią 0:2 w Londynie zapytałem Leszka Ćmikiewicza, dlaczego akurat tu w „twierdzy Wembley”, walczyliśmy tylko trójką w obronie, odpowiedział: – „Bo dziś tak grają wszystkie czołowe drużyny świata”... Współczułem naszym chłopcom: niewolnicy taktyki!

W znacznie lepszym nastroju skonsumowałem jubileusz naszego tygodnika. „Piłka Nożna” najpierw jako miesięcznik i organ PZPN tylko do użytku wewnętrznego, a potem w wolnej sprzedaży rynkowej, ukazywała się już w latach 1956 – 1973. Teraz był rok 1988, a więc rzeczywiście tygodnikowi stuknęło piętnaście lat. To prawie dwa pokolenia piłkarzy i całe zastępy trenerów, działaczy i służb medycznych, zarówno w klubach jak i w reprezentacji. Żywy mi symbolami tego piętnastolecia są przede wszystkim: Kazimierz Górski wówczas Zasłużony Trener PRL, Włodzimierz Lubański – piłkarz trzydziestolecia PRL, Kazimierz Deyna – piłkarz siedemdziesięciolecia PZPN, Grzegorz Lato – król strzelców Weltmeisterschaft 1974 i rekordzista występów w reprezentacji Polski. To także trenerzy Jacek Gmoch, Andrzej Strelau, Ryszard Kulesza, Antoni Piechniczek i Wojciech Łazarek oraz wybitni piłkarze: Zbigniew Bo-

niek, Władysław Żmuda, Józef Młynarczyk, Robert Gadocha, Jan Tomaszewski i ich rówieśnicy. Nasze pismo praktycznie przez całe piętnastolecie towarzyszyło im w drodze do sławy – na dwóch Olimpiadach i czterech finałach mistrzostw świata. Zapewne nie tylko z racji jubileuszowej kurtuazji, mówili wtedy o naszym tygodniku:

Kazimierz Górski: – ...Najbardziej upodobałem sobie w „Piłce Nożnej” trzy rubryki: „Świat między bramkami” pióra Antoniego Piontka, „Grzejąc ławę” Krzysztofa Mętraka i „Z woleja” Stefana Grzegorzycy. To te felietony oraz wywody Miecicia Szymkowiaka i Jerzyka Lechowskiego na temat ligi i reprezentacji najbardziej pobudzały moją wyobraźnię, wzbogacały wiedzę taktyczną, pomagały w pracy...

Więzy łączące mnie z redakcją są trwałe i nie ograniczają się do kontaktów służbowych... Czułem się w redakcji jak we własnym domu. A gdy pracowałem w Grecji, tam dla odmiany redaktorzy z „Piłki Nożnej” czuli się u mnie jak u mamy. Potrafiliśmy wtedy znaleźć czas i na lampkę wina, partyjkę szachów i na roberka w brydża... Podczas mistrzostw świata w RFN Miecicio dość często był moim tłumaczem, a Jerzyk nieocenionym recenzentem mojej pierwszej książki „**Pół wieku z piłką**”.

Na turnieju UEFA w Bułgarii w roku 1959 Stefanek Grzegorzycy i Jerzyk Lechowski (wtedy pierwszy z nich pracował w „Sportowcu”, a drugi w „Przeglądzie Sportowym”) występowali w reprezentacyjnej drużynie dziennikarzy obsługujących tę imprezę, a ja – wspólnie z Mieciciem Graczem – w zespole trenerów z całej Europy. Było 3:3, więc nikt nikomu krzywdy nie zrobił, przyjaźń się potęgowała. I trwa do dziś!...

Ryszard Koncewicz (Zasłużony Trener PRL): – ...Co dwa tygodnie korzystam z rubryki, jaką mi przydzielono i pod winietą „**Okiem eksperta**” dzielę się z Czytelnikami swoimi doświadczeniami i wiedzą... Staram się pisać przy-

stępnie, podchodzę do omawianych tematów popularnie, zrozumiale dla każdego, kto kocha lub tylko lubi piłkę nożną... Dla mnie – człowieka, który nie przestał się czuć przede wszystkim szkoleniowcem, dużą satysfakcją jest to, że uznano potrzebę przekazywania Czytelnikowi przy sposobności wywiadów, artykułów problemowych, ocen spotkań, wiadomości z zagranicy, itp., trochę wiedzy, która pozwoli każdemu patrzeć na piłkę z większym zrozumieniem jej braków i potrzeb.

Antoni Piechniczek (trener): –...Utworzenie tygodnika było pożądane, a okazało się również wyjątkowo pożyteczne. W najwspanialszym okresie polskiego futbolu mogliście popularyzować ten sport, troszczyć się o rozwój tej dyscypliny i edukację całego środowiska piłkarskiego. Zrobiliście bardzo dużo... Mój błąd i wielu innych szkoleniowców polegał na tym, że powodowani brakiem czasu nie sięgaliśmy sami po pióro, nie próbowaliśmy polemizować. Robić to, co czyni na przykład Ryszard Koncewicz... Cenię i lubię was za to, że nie ograniczacie się do opisywania piłki. Sami jesteście piłkarzami w dziesiątkach meczów „Publikatorów”, gra sama w sobie jest dla was źródłem przeżyć...

Wojciech Łazarek (selekcjoner): ...Moją obecność w tym wspaniałym świecie futbolu „Piłka Nożna” odnotowała, gdy byłem zaledwie trenerem reprezentacji juniorów Wybrzeża. Wszelkie następne szkoleniowe sukcesy zdobywałem w towarzystwie szanownego Jubilata... Wasze bratnie dusze zawsze pomagały mi wybrnąć z największych tarapatów. Najprzyjemniejszy był okres poprzedzający jedno Boże Narodzenie, gdy dowiedziałem się, że uznaliście mnie „Trenerem Roku”. I takich was pamiętam... Wszak nadane przez was „szlachectwo” zobowiązuje. W dniu waszego Jubileuszu mogę oświadczyć, że nadal będę pracował nad sobą.

Kazimierz Deyna (Piłkarz trzeci na świecie '74): ...Ubolewam, że tygodnik nie powstał wcześniej. Przypomnijmy sobie czasy, kiedy Legia i Górnik

swoimi zwycięstwami w europejskich pucharach wytyczały szlak dla całego polskiego piłkarstwa. Już wtedy zainteresowanie w kraju było olbrzymie... Bo po raz pierwszy polskie drużyny klubowe walczyły z zachodnimi jak równy z równym. Dzień po meczu zaczynaliśmy od czytania prasy. Brakowało nam czegoś takiego jak „Piłka Nożna”. Dopiero teraz są miłe wspomnienia. Ja mieszkałem i grałem w Warszawie, wy macie w Warszawie redakcję. Można powiedzieć, że byliście cały czas przy mnie. Przecież redaktor Jerzy Lechowski zna mnie od czasów, kiedy jeszcze chyba sam nie wiedziałem, że będę reprezentantem Polski. A on to wiedział, pracując wtedy w „Przeglądzie Sportowym”. I jak tu wam nie wierzyć?

Włodzimierz Lubański (Piłkarz trzydziestolecia PRL): – ...Tak się złożyło, że kiedy wy się rodziście i umacnialiście, zdobywaliście sobie popularność, jako tygodnik, ja powoli upadałem. Paradoksem jest fakt, że kiedy nasza reprezentacja wygrywała z Anglią w Chorzowie, rozpoczynając drogę ku światowym wyżynom, dla mnie był to praktycznie koniec kariery... Jestem teraz w Belgii, tam też – choć z dużym opóźnieniem i nie każdy numer – czytam „Piłkę Nożną”. Muszę przyznać, znając poziom pism piłkarskich w zachodniej Europie, że pod względem fachowości znajdujecie się wśród najlepszych. Wasza krytyka jest konstruktywna, zawsze wnosi coś nowego, zmusza do refleksji. Nie ma zjadliwych napaści tak charakterystycznych dla wielu pism. Gdybyście jeszcze wyglądali tak, jak kolorowe „Kicker”, „France Football”, „Guerin Sportivo” czy choćby holenderski „Voetbal”.

Zbigniew Boniek (Trzeci piłkarz świata '82): – ...„Piłka Nożna” jeszcze w moich bydgoskich czasach zawsze była w naszym domu. Gdy jest się synem piłkarza... Dziś w Rzymie również was czytam z... czterodniowym opóźnieniem., Dobrze was wspominam. Najpierw znalazłem się wśród „Talentów”, potem byłem „Odkryciem Roku”, by wreszcie dwukrotnie być „Piłkarzem Roku”.

Ale największą przyjemność zrobiliście mi, gdy umieściliście mnie w „Jedenaście świata”. Bardzo podobała mi się wasza ocena wydarzeń na Okęciu. Była obiektywna, podobnie jak relacje ze śmiesznego naszego procesu. Myślę, że jestem coś winien waszemu tygodnikowi, za te wszystkie lata, gdyśmy się tak dobrze rozumieli...

Grzegorz Lato (król strzelców, WM – 74): – ...Zawsze chętnie czytałem „Piłkę Nożną”, chociaż przeważnie miałem kłopoty z jej kupnem. Czytam ją i dzisiaj, ale tu do Kanady przychodzi z trzytygodniowym opóźnieniem,. Wśród tutejszej Polonii mamy nie pisaną umowę, że po przeczytaniu natychmiast udostępniamy gazetę innym chętnym... Czego można życzyć Jubilatowi? Na pewno kolejnych piętnastoleci w dobrej kondycji. Pod względem fachowości jesteście na dobrym kursie. Trzymajcie go! Róbcie również wszystko, aby choć odrobinę uatrakcyjnić szatę graficzną!...

Józef Młynarczyk (Zdobywca Klubowego Pucharu Świata): – ...Chętnie czytam „Piłkę Nożną”. Jest to jak na polskie warunki świetne pismo specjalistyczne. Bardzo ucieszył mnie fakt, że wasz wybór Piłkarza Roku 1983 padł właśnie na moją osobę. Po „aferze na Okęciu” w powodzi najrozmaitszych artykułów wykazaliście powściągliwość i niezbędny w takiej sytuacji – chłodny dystans. W końcu to nie „Piłka Nożna” nazwała mnie członkiem „bandy czworga”... Miałem szczęście do trenerów, nie od dziś jednak wiadomo, że najwięcej zawdzięczam Antoniemu Piechniczкови. Niech więc mogę, korzystając z jubileuszowych łamów „Piłki Nożnej”, publicznie mu za to wszystko podziękować...

Rozmowy z naszymi najwybitniejszymi piłkarzami i trenerami przeprowadzili: Jacek Barański, Roman Hurkowski, Waldemar Łodziński, Kazimierz Oleszek, Paweł Smaczny, Stefan Szczepłek i Paweł Zarzeczny. Oni też uznali, że w piętnastoleciu (1973 – 1988) najlepsi w naszych konkursach – plebiscytach

byli: Kazimierz Górski (Trener), Kazimierz Deyna (Piłkarz), Zbigniew Boniek (Odkrycie roku), Alojzy Jarguz (Sędzia). Natomiast ja przeprowadziłem wywiad z wydawcą naszego tygodnika, dyr. **Zygmuntem Konopką**. Zapytałem go między innymi:

– Czy dostrzega pan lub dostrzegał wpływ tygodnika „Piłka Nożna” na rozwój i poziom futbolu w Polsce?

– Tak. Moim zdaniem stanowisko zajmowane przez redakcję na pewno wywierało i wywiera istotny wpływ, między innymi na politykę PZPN i ułatwia związkowi formułowanie podstawowych zasad i kierunków społecznej działalności.

– Wiele imprez międzynarodowych odbywa się bez obecności na nich przedstawicieli naszego tygodnika. Czy w tej kwestii widzi pan jakieś możliwości poprawy?

– Z przykrością muszę powiedzieć, że na razie niewielkie. Poprawa mogłaby nastąpić w wypadku rozwinięcia przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą (MAW) działalności eksportowej, co mamy w planie. Wówczas część uzyskanych środków dewizowych można było by przeznaczyć na wyjazdy służbowe dziennikarzy.

Praktycznie od pierwszego numeru „Piłki Nożnej” stałym felietonistą tygodnika był Krzysztof Mętrak. Najpierw rozdawał „Laur i chłosty”, a później jeszcze bardziej osobiste odczucia przekazywał w rubryce „Grzejąc ławę”. Były to prawdziwe perełki sportowej felietonistyki. W wydaniu jubileuszowym opisał też Krzysio nasze kłopoty lokalowe. Najpierw gnieździliśmy się w trzech pokojach i długim korytarzu na stadionie Skry przy ulicy Wawelskiej, skąd nas permanentnie wyrzucono, potem gdy tam eksmisja stała się faktem, cały rok 1984 spędziliśmy „gościnnie”, niemalże na stojąco redagując pismo na Wspólnej i w Alejach Ujazdowskich. Wreszcie w miarę normalne warunki mieliśmy w kil-

ku pokojach w pawilonie typu „Lipsk” przy Alejach Stanów Zjednoczonych. To tam – gdzie dziś gospodarzem jest stacja telewizyjna „POLSAT”. Na Wawelskiej najczęściej ja wyklócałem się z milicją i robotnikami z ciężarówki. Kilka razy chcieli nas wziąć siłą, ale długo nie dawali rady. Wczesnym rankiem nasza gospoia pani Stefania Sadowska skutecznie odstraszała ich szczotką, mokrymi ścierkami i stanowczym głosem: – Redaktorów jeszcze nie ma i nikt do redakcji nie wejdzie!

Krzysio Mętrak był z nami wszędzie, dobrze nas znał, wszystko widział i wiedział, mógł więc bez żadnych oporów wewnętrznych napisać:

...Kiedy rodził się tygodnik „Piłka Nożna”, nasz futbol odbywał bezprzykładny marsz ku światowym standardom. Ostatnie lata to jednak marsz w kierunku odwrotnym. Musiało to wpłynąć na charakter pisma, na sposób reagowania nas wszystkich, na rolę, jaką sobie wyznaczamy. Czasy euforii należą do przeszłości, nastały lata wymagające zwiększonego krytycyzmu i prasowej czujności. Wielu młodszych kolegów „posterowało” w kierunku jałowego (na dłuższą metę) negatywizmu, wszędzie szukając tylko drapieżnych sensacji i afer. Pojęcie „krytyki konstruktywnej” zdewaluowało się, obiektywizm stracił na wartości i cenie.

Wydaje mi się, że „Piłka Nożna” potrafiła zachować pewną równowagę między zdrową i potrzebną krytyką, a propozycjami i postulatami konstruktywnymi. Wiele z tych postulatów pozostało wyłącznie na papierze, ale to już nie nasza wina. Dziennikarze nie odpowiadają za stan i kondycję rodzimego futbolu, choć często na ich barki składa się odpowiedzialność za zło. Są to jednak na ogół nieczne wybiegi ze strony ludzi, którzy nie chcą się przyznać do własnych grzechów. Łatwo więc biją się w cudze piersi... Ciężką nad naszym futbolem jakieś zmory. Nie będę ich dzisiaj wymieniał, żeby nie psuć nam wszystkim „jubielszowego nastroju”.

CZKAWKA „NAPOLEONA”

Lata 1988 – 1990, to początek naszej transformacji: ustrojowej, światopoglądowej, społeczno-ekonomicznej, politycznej. Szczególnie rok 1989 zapisał się dużymi zgłoskami w historii naszego kraju. Triumfalne zwycięstwo odniosła „Solidarność”, całkowicie zmieniając układ sił w społeczeństwie. Upadł system totalitarny, nastał czas gruntownych reform. Domagano się ich również w piłkarstwie. Na początek zerwano z fikcją premiowania zawodników. Ówczesny sekretarz generalny PZPN, Zbigniew Kaliński przesłał do FIFA pismo następującej treści:

... „PZPN zwraca się z uprzejmą prośbą do FIFA i wszystkich należących do niej federacji narodowych o traktowanie zawodników występujących w polskiej I i II lidze piłki nożnej jako piłkarzy kontraktowych”. Jednocześnie do naszych władz państwowych skierowano pismo informujące o „przyjęciu systemu piłkarstwa zawodowego”. Zawarte tam tezy poparł ówczesny przewodniczący Urzędu Kultury Fizycznej i Młodzieży, Aleksander Kwaśniewski.

Był to rok kolejnego Zgromadzenia Sprawozdawczo-Wyborczego PZPN. Zapowiadano dalsze rewolucyjne zmiany. Jednak tylko w niektórych okręgach pojawili się autentyczni reformatorzy. Przeważały opinie i dążenia o charakterze lokalnym. Kraków jednoznacznie stwierdził, że „pada po ciężarem wytycznych”, Gdańsk apelował o „skuteczną pracę z młodzieżą”, a Warszawa była przeciwna dominacji wielkich klubów. Wyraźnie przypominała „skąd wyrastają ich korzenie”. Domagała się uznania i szacunku dla małych klubów. Tu i ówdzie postulowano też konieczność odchudzenia nadmiernie rozbudowanych rozgrywek ligowych. Podobną linię przyjął zarząd PZPN i miał szczyry zamiar zreformować głównie ekstraklasę.